

Na morzu, przetrwanie

Kiedy Tanu Filo usłyszał głos syna w słuchawce telefonu, pomyślał, że oto stał się cud. Znajdował się właśnie w swoim domu na atolu Atafu w archipelagu Tokelau, załamany utratą syna, który zaginął kilkadziesiąt dni temu. Życie potrafi pisać jednak happyendy, bo gdy Tanu przyłożył słuchawkę do ucha, odezwał się głos, którego, sądził, że już nigdy nie usłyszy.

5 października trzech nastolatków opuściło atol w małej, aluminiowej łódeczce i wypłynęli na wody, które przecież znali od dzieciństwa. 15 – letni Filo Filo i Samuel Pelesa oraz 14 letni Edward Nasau zniknęli na 50 dni. W środę, 24 listopada odnalazł ich kuter rybacki i zabrał na Fidżi, gdzie w szpitalu przeszli wszelkie niezbędne badania.

Dziennikarze nowozelandzkiego dziennika „New Zealand Herald” rozmawiali z Tanu Filo tuż po wiadomości o uratowaniu chłopców. Gdy ojciec krzyknął na cały dom, że zaginiony syn i brat żyją zerwały się niekontrolowane okrzyki radości. Teraz pozostało nerwowe oczekiwanie na przybycie chłopców do domu.

Wszyscy patrzyli na telefon, niedługo mieli usłyszeć głos, którego nie słyszeli przez 50 dni. Wreszcie zabrzączał telefon i słuchawkę podniosła jedna z córek Tanu Filo, po kilku słowach wszyscy znowu zaczęli wrzeszczeć z radości i nawzajem się ścisnąć. Okrzyki „To prawdziwy cud” mieszały się z radosnymi dźwiękami śpiewu domowników.

Filo ma trzy siostry i pięciu braci, którzy, jak pisze gazeta, płakali przez cały dzień. Dziękowali Bogu, że mogą wylewać łzy szczęścia a nie rozpacz.

Informacja obiegła cały świat, we wszystkich największych mediach na świecie pokazywano wycieńczonych chłopców. Jednak w pogoni kolejnych newsów historia młodzieńców już nie wzbudzała takiego zainteresowania. Jedynie na Atafu wszyscy szykowali się do imprezy. Wszyscy, czyli około tysiąc osób, które zamieszkują ten niewielki atol.

Rodzina Filo nie poczyniła żadnych przygotowań do pogrzebu, nikt nie chciał jeszcze dopuścić myśli o pogrzebie dopóki nic nie wiadomo. Trwały za to ciągłe modlitwy w kościele. Dziś pan Filo mówi dziennikarzom, że to były niezwykle ciężkie dni naznaczone bólem, który każdy nosił w sobie.

Szczęśliwy ojciec, krótko rozmawiał z synem, który wykrzyczał do słuchawki: „Tato, tato chcę wrócić do domu”. Trójka przyjaciół musiała być po czujną opieką lekarzy, 50 dni wegetacji w skrajnych warunkach niedożywienia i odwodnienia pozostawiły z pewnością

niekorzystne zmiany w młodych organizmach, które musiały wrócić do normalnego funkcjonowania. Jak wynika z dotychczasowych informacji uzyskanych od chłopców, utrzymywali się przy życiu pijąc wodę morską, deszczówkę, a jedli surowe ryby i złapane mewy. Natrafili na fatalne warunki pogodowe i na prawdziwy cud zakrawa fakt, że ich mała łódeczka zdołała pozostać z przerażonymi chłopcami na powierzchni oceanu.

Rodzina Samuela Peresa przygotowywała już pochówek, choć wszyscy wciąż z modlitwą na ustach żywili nadzieję na powrót do domu nastolatka. “Dziękujemy Bogu, ponieważ wciąż wierzyliśmy że on żyje. Wciąż się modliliśmy się by uratował go. I tak się stało” – mówi wujek Samulea, Lakia.

Tai Fredricsen, rybak z San Nikunau, łodzi, która uratowała chłopców, zaraz po wejściu młodzieńców na pokład, poprzez telefon satelitarny połączył się z rodzinami zaginionych i patrzył jak wzmacnia ich psychicznie rozmowa z najbliższymi. “Po prostu radość i szczęście... Słyszając ich rozmawiających z rodzinami widzisz jak życie w nich powracało. Coś niesamowitego” Stan fizyczny chłopców był zły, ale psychicznie szybko dochodzili do siebie. W momencie wejścia na pokład łodzi rybackiej nie mieli na sobie żadnych ubrań, mięśnie były zapadnięte, a kości sterczały spod spalonej słońcem skóry ciała. Rybak mówił dziennikarzom, że widok ten sprawiał, że aż serce się ścisnęło.

„NZ Herald” przy okazji przypominał kilka podobnych wydarzeń, które miały miejsce na przestrzeni kilkudziesięciu ostatnich lat.

W 1942 r. chiński marynarz o imieniu Poon Lim płynął na pokładzie statku, który został storpedowany przez niemiecką łódź podwodną. Wyskoczył do morza z tonącego okrętu i samotnie w szalupie dryfował po oceanie przez 133 dni. Początkowo żywił się zapasami, które zdołał zabrać z okrętu, ale z czasem musiał łapać ryby, które jadł na surowo. W końcu dotarł do wybrzeży Brazylii, gdzie spędził w szpitalu ponad dwa tygodnie.

W 1982 r. Steven Callahan wziął udział w wyścigu na trasie Wyspy Kanaryjskie – Karaiby, płynąc slupem, niewielką żaglówką z jednym masztem. Po sześciu dniach slup poszedł na dno, a Callahan w łodzi ratunkowej przez 76 dni dryfował po Atlantyku, żywiąc się rybami i tocząc walkę z rekinami. Dramatyczne chwile nadeszły, gdy wykonana z gumy łódź została uszkodzona, a Callahan dokonując cudów zdołał ją utrzymać na wodzie. Został uratowany przez rybaków. Jego doświadczenie wykorzystali producenci w celu udoskonalenia pontonów.

W 1989 r. czterech mężczyzn (John Glennie, James Nalepka, Rick Hellriegel and Phil Hoffman) wyruszyło w morze trimaranem o nazwie "Rose Noelle" z Picton na Tonga. Burza wywróciła ich jacht i w ten sposób spędzili na morzu 119 dni.

Rok temu dwóch birmańskich rybaków przeżyło dwadzieścia pięć dni na morzu pływając w...lodówce. Ich kuter zatonął. Z 20 osobowej załogi tylko oni przeżyli.